

JERZY SZACKI*

Wokół etyki polskiego humanisty**

Nie jestem ani etykiem normatywnym, ani nawet przedstawicielem opisowej nauki o moralności, nie muszę przeto uprzedzać, iż moje refleksje będą miały czysto amatorski charakter. Wyznam też od razu na wstępie, że nie przepadam ani za układaniem kodeksów moralności, ani w ogóle za moralizowaniem, w związku z czym nie będę wypowiadał się o tym, jak należałoby postępować. Zastanowię się raczej nad tym, przed jakimi problemami moralnymi stają współcześni uczeni-humaniści, pozostawiając im samym ewentualne zmartwienie, co z tymi problemami robić. Chciałbym także zastanowić się krótko nad tym, czy i jak owe problemy różnią się od problemów, przed jakimi stają wszyscy uczeni, przede wszystkim uczeni-przyrodnicy, o których najczęściej mowa wtedy, gdy dyskutuje się tzw. *etykę nauki*. Ogromna literatura na ten temat odwołuje się przede wszystkim do ich doświadczeń.

Zacząć wypadnie jednak od tego, że problemy, o których traktuje się w dyskusjach o etyce nauki, są co najmniej dwojakiego rodzaju.

Okazuje się w tych dyskusjach, że wchodząca w grę problematyka jest szeroka i wąska zarazem. Szeroka, ponieważ wynika z refleksji nad ogółem zachowań się pracowników nauki postrzeganych jako naganne; wąska, ponieważ ich zachowania się podlegające moralnej ocenie tylko w niewielkiej, jak się zdaje, części są swoiste dla tej szczególnej kategorii podmiotów moralnych. Przeważnie chodzi, jak sądzę, o oceny odwołujące się do norm mających takie same zastosowanie do wszystkich innych ludzi. Jeżeli potępiamy, dajmy na to, plagiat, kierujemy się, w gruncie rzeczy, jednym z dziesięciu przykazań i niczym więcej. Fałszowanie wyników badań czy też przemilczanie niezgodnych z założoną tezą danych to po prostu szczególne przypadki dawania fałszywego świadectwa. Tzw. etyka nauki bywa zatem poniekąd etyką po prostu.

W takich wypadkach problem polega głównie na tym, że wykroczenia pracowników nauki przeciwko niej mogą być w praktyce trudniej rozpoznawane, i na tym, że tych, którzy je popełniają, trudniej przyłapać na gorącym uczynku niż pospolitego złodzieja lub zwyczajnego kłamcę, może to bowiem wymagać dość wysokiego stopnia wtajemniczenia w tajniki danej specjalności naukowej. Laik nie potrafi na ogół zauważyć, że coś jest nie w porządku.

Problem polega też, co dziwniejsze, na tym, że wykroczenia pracowników nauki spotyka jak gdyby łagodniejsze potępienie. Trudno sobie na przykład wyobrazić, aby poważna partia polityczna powołała do władz człowieka, który okradł sklep monopolowy, jest to wszakże najzupełniej możliwe w przypadku kogoś, kto przywłaszczył sobie cudzą pracę magisterską. Nie znaczy to jednak w żadnym razie, iż chodzi o występki jakościowo innego rodzaju, aniżeli te, których potępienie wynika bezpośrednio z dekalogu. Powtarzam: nie chodzi tu, w gruncie rzeczy, o żadną etykę nauki, lecz o etykę po prostu.

* Prof. dr hab. Jerzy Szacki, członek rzeczywisty PAN, Uniwersytet Warszawski.

** Pierwodruk artykułu ukazał się w czasopiśmie „Odra” nr 2, 2001. Redakcja „Nauki” dziękuje za zgodę na przedruk.

Krótko mówiąc, dyskusja o etyce nauki sprowadza się niekiedy do zbędnego, jak sędzę, dowodzenia, iż pracownik nauki powinien być przyzwoitym człowiekiem, czyli powinien przestrzegać pewnych odwiecznych zasad, do których przestrzegania zobowiązani są jednakowo wszyscy ludzie. Rzeczywiście, powinien. Wątpliwości nie budzi również to, że bynajmniej nie zawsze przestrzega on owych zasad, w czym także nie różni się od ogółu swoich bliźnich.

Tak rozumiana problematyka etyki nauki nie wydaje mi się przeto ciekawa. Jesteśmy tu zbyt blisko oczywistości, aby było o czym dyskutować. Jeżeli warto tu się nad czymś zastanawiać, to tylko nad skalą i motywami nagannego postępowania oraz, być może, nad tym, czy winna jest po prostu ułomność ludzkiej natury czy też również aktualne warunki pracy naukowej, które mogą bardziej lub mniej sprzyjać ujawnianiu się wynikających z natury ludzkiej złych skłonności. Tak czy inaczej, jest to kwestia nie tyle zasad, które są bodaj całkowicie jasne, ile stanu obyczajów, który jest taki, jaki jest.

Znacznie ciekawsza wydaje mi się problematyka etyczna związana z osobliwościami zawodu uczonego, a więc nakazami i zakazami odnoszącymi się ewidentnie do jednostek, które wybrały ten rodzaj powołania, godząc się tym samym na respektowanie reguł stanowiących – jak słusznie się sądzi – o tożsamości nauki. Reguły te składają się na to, co zwykle się nazywało zwykle *etosem nauki*.

Dobrze znana jest charakterystyka tych zasad przedstawiona przez Roberta Kinga Mertona, który skupił się na czterech nakazach: uniwersalizmu, „komunizmu”, bezinteresowności i zorganizowanego sceptycyzmu¹. Nakaz uniwersalizmu stwierdza, iż przyjęcie lub odrzucenie twierdzeń naukowych nie może zależeć od żadnych względów partykularnych i pozamerytorycznych. Nakaz „komunizmu” wymaga, aby ustalenia nauki były powszechnie dostępne i mogły podlegać kontroli ze strony wszystkich, którzy mają chęć i możliwość jej przeprowadzenia. Nakaz bezinteresowności wydaje się zrozumiały sam przez się, podobnie jak i nakaz zorganizowanego sceptycyzmu, wymagający od uczonego wątpienia tak długo, jak długo nie są dostępne przekonujące dowody słuszności jakiegoś poglądu.

Można, oczywiście, sporządzić nieco inną listę takich nakazów, toteż nie chodzi mi tu bynajmniej o szczegóły czy też nawet trafność charakterystyki Mertona. Tak czy inaczej, chodzi o to, że wybór powołania uczonego pociąga za sobą akceptację pewnych reguł, które nie muszą mieć zastosowania poza nauką lub nawet mogą różnić się z regułami przyjętymi w innych sferach działalności. Polityk czy przedsiębiorca kierujący się tymi regułami byłby zapewne szaleńcem skazującym się z góry na porażkę. Mniej więcej to samo można powiedzieć, dajmy na to, o znanej maksymie Stanisława Ossowskiego, że *zawodowym* obowiązkiem uczonego jest nieposłuszeństwo w myśleniu, która w zastosowaniu na przykład do wojskowego miałaby niewiele sensu. Wspomniany autor pisał w związku z tym przekonująco o zasadniczej różnicy między prakseologią nauki i prakseologią walki². Nie wchodziłyby tu więc w grę zasady ogólnoludzkiej moralności, lecz tylko zasady moralności zawodowej, każące postępować w sposób uznawany za właściwy w danym środowisku.

¹ Robert K. Merton, *Teoria socjologiczna i struktura społeczna*, Warszawa 1982, s. 581 nn.

² Stanisław Ossowski, *Taktyka i kultura*, [w:] Jakub Karpiński, *Nie być w myśleniu posłusznym. Ossowsky, socjologia, filozofia*, London 1989, s. 134-135.

Można się nawet zastanawiać, czy – ściśle rzecz biorąc – mamy tu do czynienia z nakazami *moralnymi*, czy też może raczej chodzi po prostu o zdefiniowanie warunków, jakim musi odpowiadać wszelka działalność *naukowa* w odróżnieniu od działalności na innych polach; czyli, inaczej mówiąc, o stwierdzenie, czym jest nauka jako swoisty rodzaj zinstytucjonalizowanej działalności społecznej. Można utrzymywać, iż od spełnienia tych warunków zależy bardziej to, czy jest się uczonym w pełnym tego słowa znaczeniu, aniżeli to, czy w roli społecznej uczonego postępuje się moralnie czy niemoralnie. Kogoś, kto owych warunków ewidentnie nie spełnia, jesteśmy skłonni traktować po prostu jako „uczonego” w cudzysłowie – chyba że dał się wcześniej poznać od dobrej strony, co jednak nie zdarza się bodaj zbyt często.

Niemniej jednak rozważania o etosie nauki wydają się lepszym punktem wyjścia do dyskusji o kondycji moralnej nauki współczesnej niż wspomniane wyżej ogólne zasady moralne, aczkolwiek zasady moralne, które mogą tu być przywoływane, są w jakiejś mierze nieodróżnialne od zasad *dobrej roboty* naukowej. Nie wykluczałbym nawet, iż w istocie chodzi nade wszystko o te ostatnie.

Kiedy mówi się o upadku dobrych obyczajów w nauce, częściej bodaj ma się zresztą na myśli zmierzch tradycyjnego etosu nauki, aniżeli to, że jej pracownicy stali się *en masse* mniej moralni w owym najszerszym – pospolitym, by tak rzec – znaczeniu, od którego zacząłem swój wywód.

W każdym razie, budzące wątpliwości postępowanie pracownika naukowego niekoniecznie wywołuje w tym wypadku jednoznaczne potępienie moralne, chociaż może wydawać się jak najbardziej niewłaściwe ze względu na oczekiwania, jakie zwykle kierować się pod adresem uczonych. Ewentualnej ocenie negatywnej towarzyszy tu nierzadko refleksja, czy te oczekiwania nie są nazbyt wygórowane, ponieważ nie biorą pod uwagę aktualnej sytuacji i aktualnych funkcji nauki – funkcji, które bywają nie do pogodzenia z jej tradycyjnym wyobrażeniem, uosobionym w idei etosu nauki. Idea ta odwołuje się przecież do obrazu działalności naukowej, jaki ukształtował się w czasach, kiedy nauka była elitarna i w nieporównanie mniejszym niż dzisiaj stopniu zależna, z jednej strony od finansującej ją i kontrolującej władzy państwowej, z drugiej natomiast – od rynku. W rezultacie, słyszy się raczej narzekania, że nauka nie jest już tym, czym była kiedyś, niż moralne potępienie kierowane pod adresem jej poszczególnych pracowników, którzy nie postępują zgodnie z wzorami pozostawionymi przez swych wielkich poprzedników.

Krótko mówiąc, warto odróżnić dwa rodzaje rozważań dotyczących tzw. etyki nauki: czasem chodzi mianowicie o pospolite występki popełniane tu i ówdzie przez pracowników nauki, czasem zaś o niekorzystne przemiany, jakim w wyniku umasowienia, etatyzacji i urynnowienia uległa, czy też może dopiero ulega, nauka jako instytucja społeczna. W pierwszym wypadku chodzi o problematykę *par excellence* moralną, w drugim – o problematykę *par excellence* socjologiczną, aczkolwiek związaną jakoś z problematyką moralną.

W pierwszym wypadku chodzi w najgorszym razie o częstsze niż kiedyś gwałcenie elementarnych norm przyzwoitości, które jako takie nie podlegają wszakże zakwestionowaniu, w drugim – postępującą erozję norm składających się na etos nauki. To drugie wydaje mi się nieporównanie groźniejsze, chociaż nie ma tu, w gruncie rzeczy, żadnych wielkich skandali i zjawisko budzi na ogół raczej smutek niż moralną grozę, polegając po prostu na tym, że uprawianie nauki przeobraża się stopniowo *ze wzniosłego powołania w zawód jak każdy inny*, w którym coraz

bardziej liczy się nie tyle umiłowanie prawdy, ile, z jednej strony, znajomość życzeń i oczekiwań zwierzchności, z drugiej zaś – wyczucie rynkowej koniunktury.

Nie jestem w stanie dać wyczerpującego opisu tego zjawiska, toteż ograniczę się do wskazania jedynie z grubsza, jakie to przemiany mam na myśli. Rozumie się samo przez się, że w tym, co mówię, nie kryje się w żadnym razie sugestia, iż wszyscy uczeni byli kiedyś bezinteresownymi i nieustraszonymi poszukiwaczami prawdy, dzisiaj zaś takich uczonych już nie ma. Myśl taka nie przysłaby mi w ogóle do głowy. Tego rodzaju generalizacje są z reguły pozbawione sensu. Nie przeszkadza to jednak zastanawiać się nad *kierunkiem zmian*, które sprawiają, że tradycyjne i jawnie wyidealizowane wyobrażenie nauki coraz mniej zdaje się pasować do rzeczywistości.

Pierwsza sprawa, której konsekwencje warto sobie uświadomić, to – odnotowywane przez naukowców od dość dawna – *umasowienie* zawodu pracownika naukowego i pojawienie się rzeszy „naukowców” (zastanawiająca jest zresztą kariera tego słowa wypierającego słowo „uczni”), którzy mają wprawdzie odpowiednie tytuły i przy ich otrzymywaniu składają odpowiednio patetyczne ślubowania, ale w istocie są tylko *wykonawcami* i *podwykonawcami*, nieróżniącymi się zbyt od tysięcy i milionów innych pracowników czy funkcjonariuszy. Mają do wykonania takie lub inne wycinkowe zadania, w których ustalaniu mieli zwykle niewielki (lub zgoła żaden) udział, i za całość przedsięwzięcia nie ponoszą żadnej odpowiedzialności. Wymaga się od nich rzemieślniczej poprawności i niczego więcej. Nikt nie oczekuje od nich służenia wielkim celom i dokonywania wielkich odkryć. Są wyrobnikami, do których nakazy etosu nauki nie mają jak gdyby zastosowania. Część z nich pracuje przy realizacji projektów naukowych w ścisłym słowa znaczeniu, rosnąca część jednak nie ma nawet tej satysfakcji, jest bowiem zatrudniona przy realizacji rozlicznych zadań usługowych, gdzie w ogóle nie chodzi o poznanie czegokolwiek, lecz jedynie o praktyczne zastosowanie czegoś, co jest już doskonale znane. Czy można mierzyć tych pracowników nauki, jeśli w ogóle zasługują oni jeszcze na tę nazwę, tą samą miarą, którą ustalono w czasach, gdy nauka nie była jeszcze przedsięwzięciem tak bardzo masowym, zbiurokratyzowanym i anonimowym? Czy pojęcie etosu nauki nie okazuje się tu pojęciem z innej planety?

Druga sprawa godna najwyższej uwagi to proces *etatyзації* nauki. Nie twierdzę, rzecz jasna, że nauka była kiedykolwiek całkowicie niezależna od państwa czy też może kiedyś zdobyć się na taką niezależność. Co innego jednak mecenat państwowy umożliwiający takie lub inne badania, których sensowność daje się wielorako merytorycznie uzasadnić, co innego natomiast rozrost szeregów pracowników nauki jako państwowych funkcjonariuszy, których jedynym zadaniem jest sprostanie pewnej liczbie formalnych wymagań (takich jak robienie w określonym czasie określonych stopni, wykonywanie określonego pensum zajęć dydaktycznych czy też wyrabianie dla potrzeb sprawozdawczości jakiegoś minimum „prac własnych”), co w praktyce niekoniecznie pokrywa się z rzeczywistą pracą badawczą. Amerykanie wynaleźli termin *tenure writing*, który doskonale oddaje to, co najbardziej charakterystyczne dla nauki zetatyzowanej, a mianowicie przewagę działań nastawionych głównie, jeśli nie wyłącznie, na utrzymanie stanowiska i ewentualny awans, nie zaś na to, aby w dostępnej sobie skali dokonać czegoś rzeczywiście istotnego. Nastawienie takie wydaje mi się zresztą znacznie poważniejszym niebezpieczeństwem dla etosu nauki, aniżeli bezpośrednie naciski władzy państwowej mające skłonić pracowników nauki do głoszenia takich, a nie innych poglądów. Naciski takie należą do sfery przejściowych patologii, podczas gdy wspomniane przystosowywanie się nauki do biurokratycznego obyczaju robienia

głównie tego, co wymagane na danym stanowisku, wydaje się zjawiskiem trwałym i, by tak rzec, ponadustrojowym.

Trzecia sprawa, nad którą warto się zatrzymać, to *urynkowanie* nauki, polegające – najogólniej mówiąc – na tym, że uwaga pracowników nauki koncentruje się nie tyle na problemach wynikających z jej dotychczasowego rozwoju, których rozwiązanie jest warunkiem jej dalszego postępu, ile na tym, co w danym momencie „chwyci” ze względu na popyt, gusty i zainteresowania sponsorów, panującą modę itp. Nie brak zaiste pracowników nauki, którzy podejmują jakąś problematykę nie dlatego, że mają na jej temat coś ważnego do powiedzenia, lecz wyłącznie dlatego, że stała się ona akurat pokupna. W ostatnim dziesięcioleciu takim zagadnieniem stała się w naukach społecznych problematyka transformacji systemowej, ale nie jest to przecież przykład jedyny. Jeszcze lepszym jest zapewne problematyka postmodernizmu. Wystarczy zresztą, by na jakimkolwiek polu pojawiła się nadzieja na „zaistnienie” na rynku, a możemy być pewni, że nie zabraknie „specjalistów”.

Mając do czynienia ze zjawiskami takimi jak wyżej opisane, wyczuwamy na ogół, że coś nie jest w porządku, trudno wszakże byłoby utrzymywać, iż w grę wchodzi w każdym wypadku jawne odejście od nakazów etosu nauki czy tym bardziej pogwałcenie jakichś norm moralnych. Kłopot polega raczej na tym, że istnieje tu niezwykle rozległa szara strefa, w której zastosowanie kryteriów dobra i zła nastrocza niekiedy trudności nie do przezwyciężenia. Łatwo wskazać pewne przypadki bezczelnego spryciarstwa i ewidentnego lekceważenia zasad dobrej roboty, trudniej wytyczyć wyraźną linię graniczną, która oddzielałaby wykorzystywanie dostępnych w danych warunkach możliwości w celu urzeczywistnienia ważnych skądinąd celów poznawczych od produkowania tandety po prostu dlatego, że jest dobrze widziana przez władze, lub po prostu pokupna. Tym trudniej, że krytyka – ów „zorganizowany sceptycyzm”, o którym pisał Merton – spotyka się w samym środowisku naukowym z malejącym zrozumieniem i wręcz zanika.

Krótko mówiąc, w świecie współczesnym obserwujemy w nauce szereg niepokojących zjawisk, które – rozpatrywane w kategoriach ściśle moralnych – wymykają się często jednoznacznej ocenie, stanowiąc niemniej jednak poważne zagrożenie wartości, jakie zwykle się kojarzy z działalnością naukową.

Na zakończenie tego referatu trzeba postawić pytanie, czy problematyka moralna humanistów różni się czymkolwiek od problematyki moralnej uczonych w ogólności, o której była mowa do tej pory?

Jedno wydaje się względnie oczywiste, a mianowicie to, że nie mają oni tych strasznych zmartwień, które stały się udziałem fizyków po skonstruowaniu bomby atomowej czy też stają się udziałem biologów w miarę powiększania się możliwości inżynierii genetycznej. Są też wolni od dylematów, z jakimi na każdym kroku boryka się medycyna. Na tym tle humaniści mogą uważać się za uosobienie niewinności.

Jeśli nawet jakieś ich idee miały tu czy ówdzie skutki zabójcze, mogli zawsze pocieszać się tym, że bądź mieli dobre intencje, ale zostali niewłaściwie zrozumiani, bądź owe idee nie były, w gruncie rzeczy, ich wynalazkiem i również bez nich utorowałyby sobie drogę. Istotnie, obarczanie francuskich *philosophes* winą za rewolucyjny terror czy też Nietzschego odpowiedzialnością za hitlerizm nie jest operacją intelektualnie uczciwą. Metafora ucznia czarnoksiężnika ma w wypadku humanistyki niewielkie zastosowanie, czego przyczyną są, oczywiście, nie jakieś

jej nadzwyczajne cnoty, lecz po prostu to, że rozporządza bardzo ograniczoną władzą nad rzeczami. Jej idee mają wprawdzie konsekwencje, ale nie aż takie, jakie miewają idee przyrodoznawstwa. Nie likwiduje to problemu odpowiedzialności uczonych za to, co robią, każe jednak widzieć ją we właściwych proporcjach.

Nie na tym polega wszakże, mimo wszystko, najważniejsza różnica między problemami moralnymi humanistyki i przyrodoznawstwa. Przyrodnicy mają to szczęście, że ich zmartwienia dotyczą w pierwszym rzędzie *sposobu wykorzystywania wyników* ich pracy, podczas gdy sama praca może pozostawać moralnie, by tak rzec, bezproblemowa. Oczywiście poza tymi nie tak chyba licznymi wypadkami świadomego oddawania się uczonych na usługi zła, tj. podejmowania badań po to, aby mogły być wykorzystane w znany im złowrogi sposób.

Zmartwienia humanistów, jeżeli je mają, nieuchronnie dotyczą pracy samej, w ich wypadku ma ona bowiem to do siebie, że nie podlega bez dyskusji owym regułom, które miałyby wyróżniać wszelką działalność naukową.

To, co uważa się tu za prawdę, nie ma koniecznie uniwersalnego charakteru, pozostając nie-rzadko w nader intymnych związkach z innymi wartościami, których źródłem jest już to religia, już to solidarność narodowa, już to dobro ludzkości zdefiniowane w terminach takiej lub innej ideologii. W każdej dziedzinie można wprawdzie wskazać obszary neutralne z punktu widzenia owych wartości, niepodobna jednak znaleźć takiej dziedziny, w której byłyby one całkowicie nieobecne. Stąd zresztą znane trudności porozumiewania się humanistów różnych wiar i krajów. Wiemy, że nie jest ono niemożliwe, ale wiemy tak samo dobrze, iż bynajmniej nie wszyscy go szukają, dbając bardziej o to, aby ich poglądy były „szuszne” w świetle przyjętych w danym kręgu wartości, niż o to, aby były prawdziwe w przyjętym w nauce sensie.

Czy jest to problem moralny? Jak najbardziej, jeżeli w grę wchodzi świadome naginanie faktów do założonych z góry tez lub ich przemilczanie w imię jakiejś wielkiej sprawy, która rzekomo tego wymaga. Nie takie to wszakże proste, gdyż owe wartości, którym służy się kosztem prawdy, są przeważnie głęboko uwewnętrznione i rzecz cała ma przeważnie miejsce poniżej poziomu świadomości, tj. badacz nie tyle coś przeinacza lub przemilcza, ile nie widzi tego, co innym rzuca się od razu w oczy, lub widzi coś, co dla kogo innego pozostaje niezauważalne. Nie znaczy to, oczywiście, że owi inni bardziej od niego umiłowali prawdę; chodzić może po prostu o to, że z punktu widzenia ich wartości co innego zasługuje na uwagę. Stanem naturalnym humanistyki jest przeto konflikt interpretacji, z których każda pretenduje do prawomocności i żadna nie musi być tylko ordynarnym kłamstwem.

W czasach PRL-u przywykliśmy redukować problem do tego ostatniego. Wydaje się to błędem, o czym świadczy sytuacja w humanistyce tych krajów, gdzie kłamanie nie jest nagradzane, a stosowanie norm „poprawności politycznej” nie jest wymuszane przez administrację państwową. Problem polega na tym, że humanistyka wolna od pozanaukowych wartości, o jakiej marzył Max Weber, jest i najpewniej pozostanie piękną utopią. Chodzi więc raczej o minimalizację szkód niż likwidację ich przyczyn. Droga do tego prowadzi, jak się zdaje, nie przez moralizowanie i nawoływanie do obiektywizmu, lecz przez egzekwowanie zasad dobrej roboty, która polega na przykład na tym, aby w miarę możliwości ujawniać wszystkie przyjęte założenia lub wręcz „przesady”, brać pod uwagę raczej przemawiające przeciwko naszemu stanowisku,

a w argumentacji na jego rzecz unikać odwoływania się do wartości pozanaukowych, starać się rzeczywiście zrozumieć stanowisko ludzi inaczej niż my myślących itd.

Są to zapewne postulaty dość elementarne, ale nie sądzę, aby były one powszechnie stosowane. Z pewnością nie są w reprezentowanej przeze mnie dyscyplinie, chociaż nie wydaje się ona najgorsza pod tym względem. Szczególnie ważna jest bodaj obrona idei *prawdy naukowej* – tak często dziś kwestionowanej, niezbędnej jednak dla istnienia humanistyki jako nauki. Jest to, być może, fikcja, ale bez niej humanistyka stałaby się Wieżą Babel, w której nikt nikogo nie rozumie i nikt z nikim nie potrafi się porozumieć.

What the ethics of human sciences is about?

This paper focus on moral problems of contemporary scholars and particularly those working in the humanities and social sciences. Author tries to determine the proper domain of reflection on his topic which under current circumstances is not reducible either to prescriptions of common morality or to so called ethos of science. In particular he reflects on problems arising as a result of scholarship becoming state- and market-directed mass activity. The differences between different branches of scholarship are also under consideration.

Key words: common morality, ethos of science, humanities, ideology, market, scholarship as profession, science, state control, truth